Nr. 18. We Lwowie dnia 5. maja 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Nowa praca o Polsce.

Les idées politiques et l'esprit public en Pologne à la fin du XVIII siècle. — La Constitution du 3 mai 1791. — Par Charles Dany. — Paris 1901. (Idee polityczne i duch publiczny w Polsce w końcu XVIII stul. — Konstytucja 3 maja 1791. Przez Karola Dany. — Paryż 1901).

Spostrzegłem u naszych młodych sprawozdawców manjerę narzekania, że w dziale z powodu którego piszą, bardzo mało u nas zrobiono. Pokazuje się jednak, że sami oni bardzo niedokładnie znają literaturę odnośną i powinniby raczej narzekać na własne lenistwo i niedbałe traktowanie przedmiotu, o którym piszą. Inaczej postąpił sobie p. Karol Dany. Zgorszyła go „Historja Powszechna", wydawana pod redakcją Lavisse'a i Rambaud, która — zdaniem jego – nie odpowiada właściwemu zadaniu, a przynajmniej w rozdziałach o Polsce. Zadaniem powszechnej historji — podług autora — jest treściwe przedstawienie obecnego stanu wiadomości historycznych o opisywanych wypadkach i podanie dokładnej bibliografji w przedmiocie onych. — Weźcie — powiada autor — w tomie ósmym rozdział p. t. „Rozbiory Polski". Jakie wrażenie, po przeczytaniu onego, odniesie czytelnik? Wyniesie on to wrażenie, że naród polski z występną obojętnością przyjął klęskę pierwszego rozbioru i że znacznie później, kiedy już się odbył drugi rozbiór, wraz z Kościuszką pochwycił za broń w obronie swojej niepodległości i wolności. Nie widząc tej olbrzymiej pracy odradzania się, jaka odbywała się w łonie samego narodu po pierwszym rozbiorze; nie widząc tego, że został on zaskoczony przez powtórny najazd w chwili, kiedy rozpoczynał wielkie dzieło przeobrażenia politycznego i społecznego, czytelnik nie odczuwa całej potworności zbrodni, jaką spełniono nad tym narodem. P. Dany, chcąc przedstawić francuskiej publiczności prawdziwy obraz tego okresu dziejów narodu polskiego, zgromadził bardzo dokładną, niemal wyczerpującą bibliografję tego przedmiotu, która została wydrukowana na początku jego dzieła, i umiejętnie i bezstronnie powiązał w całość organiczną ostateczne wyniki badań historycznych na tem polu. Opierał się głównie na dziełach polskich pisarzy, które zarówno liczbą, jak i ścisłością badawczą zajmują niewątpliwie pierwsze miejsce w literaturze powszechnej tego przedmiotu.

P. Dany nie jest obcą dla nas osobą. P. Dany jest właściwie p. Danjelem Niewengłowskim, wnukiem znanego u nas matematyka i demokraty. Ojciec p. Daniela, inspektor szkół, mówi jeszcze po polsku. Niezawodnie przeto tradycje polskie przyczyniły się do tego, że Danjel wybrał za tezę dla swego doktoratu jeden z najważniejszych wypadków naszego życia dziejowego. Ułatwiały mu pracę, a szczególnie korzystanie z dzieł polskich: światła pomoc jego ojca i życzliwe wskazówki wielu osób z kolonji polskiej. P. Danjel jednak, licznemi węzłami pokrewieństwa związany ze społeczeństwem francuskiem i wychowany w szkołach francuskich, łatwiej od pisarzy polskich mógł zachować bezstronność w ocenieniu wypadków. I chodziło mu bardzo o tę bezstronność. Zastanawiał się więc także uważnie nad tem, co pisali w tym przedmiocie i Hermann, i Sołowjew, i Kostomarow, i Karejew. Poznawszy jednak dokładnie cały przebieg wypadków, wszystkie czynniki działające, nastrój umysłowy społeczeństwa, kończy swoją rozprawę temi słowami: „Jesteśmy głęboko i szczerze przekonani, że bez ostatecznej zdradzieckiej zasadzki (guet-apens)*), nic nie stawało na przeszkodzie temu, ażeby Polska wśród państw europejskich zachowała godne jej przeszłości miejsce."

P. Dany poprzedza swoją rozprawę dość obszernym wstępem, w którym przedstawia obraz rozwoju organizacji politycznej i społecznej polskiego narodu, przyczyny, które doprowadziły do wyłączności szlacheckiej i reformacyjne usiłowania ograniczenia onej. W średnich wiekach układ społeczny państwa polskiego nie był gorszy, aniżeli w innych zachodnio-europejskich państwach, a położenie włościan — zdaniem autora – było nawet korzystniejsze. Dopiero zaprowadzenie pańszczyzny w XV stul. pogorszyło ogromnie ich

---

*) Rządów pruskiego i rosyjskiego.

byt i stanowisko. W tymże czasie stan szlachecki, który w całej zachodniej Europie był panujący, zaczął dążyć do wyłączności, do opanowania państwa wyłącznie dla siebie, na swoją korzyść.**) Ujarzmił włościan, pognębił miasta, skrępował władzę królewską, a nie mogąc zastosować swej destrukcyjnej polityki do duchowieństwa, związał je ze swoim stanem. Niebezpieczeństwo takiego stanu rzeczy dla całości państwowej, stawało się dla umysłów światłych coraz widoczniejsze, i w połowie XVIII stul. rozpoczynają się usiłowania reformacyjne, mające na celu ograniczyć wyłączność szlachecką i zapewnić miastom i włościanom pewne prawa i pewne swobody. Sejm czteroletni był punktem kulminacyjnym tej dążności reformatorskiej.

Sejmowi czteroletniemu autor poświęca ośm rozdziałów: 1) Życie polityczne w Polsce podczas tego sejmu, 2) Ogólne projekty reform i główni publicyści, 3) Kwestje finansowe i wojskowe na sejmie i przed opinją publiczną, 4) Polityka zewnętrzna, 5) Tron dziedziczny, 6) Mieszczaństwo polskie i prawo z 18 kwietnia 1791 r., 7) Kwestja włościańska i 8) Dzień 3-go maja.

Najlepiej opracowanym jest — podług mego zdania — rozdział drugi. Genjalna i potężna osobistość Hugona Kołłontaja — jak to jej słusznie należy się — stoi na naczelnem miejscu. Autor, wymieniając wszystko, co napisał Kołłontaj, przytacza za Badenim także: „Głos poddaństwa do stanów sejmujących“, o którym powiada, że na nieszczęście zaginął. Otóż, na szczęście — podług wszelkiego prawdopodobieństwa — nie zaginął. W „Zbiorze mów i pism niektórych, w czasie sejmu stanów skonfederowanych w roku 1788“ (tom III w Wilnie)***), jest wydrukowany „Głos poddaństwa do stanów sejmujących“, który nie tylko tytułem potwierdza tożsamość, ale także swoją treścią i pięknym stylem. Nie wiedząc o tem, że Badeni przypisywał Kołłontajowi autorstwo tego pisemka, tak o niem pisałem w „Historji ruchu społecznego w drugiej połowie XVIII stul.“: „Kto jest autorem tego Głosu, nie wiemy, ale to rzecz pewna, że musiał do lepszych umysłów swego czasu należeć. W Głosie tym zanadto silnie przebija się odcień ironji, ażeby rzeczywiście można było takowy uważać jako pochodzący od poddaństwa.“ Po Kołłontaju, na drugiem miejscu publicystów reformatorskich, stawia p. Dany zupełnie słusznie Stanisława Staszica, chociaż — zdaniem mojem — w ocenie swojej obniża wartość tego wielkiego pisarza. Z oceną dzieła Adama Wawrzyńca Rzewuskiego w żaden sposób zgodzić się nie mogę. Autor, zaufawszy — jak się zdaje — zanadto p. Romanowi Pilatowi, przedstawia go jako wyobraziciela staroszlacheckiego stronnictwa. Tymczasem był to raczej marzyciel, niż polityk. Miłował on w starej szlachetczyźnie to, co było jej dobrą stroną: *wolność*, a nie to, co było jej złą stroną: *wyłączność*. Nie był on przeciwnikiem reform, ale się obawiał, ażeby skutkiem zaprowadzenia tronu dziedzicznego nie ucierpiała wolność. Wreszcie sam on siebie dobrze ocenił w *Liście do przyjaciela w Warszawie mieszkającego*, pisząc, po ogłoszeniu konstytucji 3-go maja: „Byłem wprawdzie przeciwny sukcesji tronu; umysł mój gorący, serce tkliwe zawsze mnie dalej samego unosi; nie wstydzę się wyznać, że nie widząc w Polsce ani prawdziwej wolności, ani cnoty, ani rządu, możem dla mojej Ojczyzny, lękając się o jej wolność, romansowe szczęścia wystawił przybytki; alem się potem gruntownie przekonał, iż w takim czasie i w pośród narodów takich żyjemy, w pośród których zupełnie wolnemi być nie możem; a lepiej jest część prywatnej wolności postradać, ażeby zachować w całości wolność powszechną Narodu, sławę nieśmiertelnych przodków naszych i imię Polaka, któreby zapewne przez zawistnych sąsiadów naszych wydarte zostało, gdyby *wolność nieograniczona szlachcica ciężyła nad wolnością publiczną i polityczną narodu*“.

Najwięcej pozostawia do życzenia rozdział siódmy: *Kwestja Włościańska*. Tu można, powiedzieć, uwydatnia się bardziej francuskie, niż polskie stanowisko autora. Przecenia on u nas znaczenie klasy miejskiej (burżuazji), a niedocenia kwestji włościańskiej. Tymczasem u nas była ona najżywotniejsza i podczas Sejmu czteroletniego i w późniejszej dobie, aż do powstania 1863 r. Bez ostatecznego zniesienia poddaństwa i pańszczyzny, niemożliwem było wytworzenie mostu i wiązadła, któreby dwa odrębne niemal narody: szlachecki i chłopski połączyły w jeden naród polski.

W Zamknięciu, autor odpiera zarzuty, czynione konstytucji 3-go maja i ze strony naszej demokracji wojującej i ze strony zwolenników dawnego porządku. Autor zaznacza swoje stanowisko w jednem z godeł, umieszczonych na początku książki: „Przenosić w wieki ubiegłe — powiada Monteskiusz w *Duchu praw* — wszystkie idee tego stulecia, w którem żyjemy — jest to najobfitsze ze źródeł Błędu.“

Umiarkowanie w sądach autor jednak czasami za daleko posuwa. Przyczynia się zapewne do tego i wpływ po mistrzowsku napisanej przez Kalinkę „Historji Sejmu czteroletniego“. W jednem nawet miejscu wyrywa się autorowi dziwne w ustach postępowego demokraty zdanie. Mówiąc o projektowanej przez Staszica wewnętrznej organizacji państwa, p. Dany powiada: „Zapewne, byłby to wspaniały postęp, lecz w rzeczach rządowych, jak i w rzeczach budownictwa, układy najprostsze, są najtrwalsze. Budowy pelasgijskie są niezniszczalne; tymczasem arcydzieła sztuki, pełne wykończenia i elegancji, niszczeją. Proste organizacje polityczne, jak autokracja, stoją; skomplikowane zaś organizacje, chociaż urzeczywistniają ogromny postęp, ideał decentralizacji, pa-

**) W „Historji demokracji polskiej“, która niebawem ukaże się na widok publiczny, zastanawiam się także nad tym przedmiotem i staram się wykazać główną przyczynę, dla czego w państwie polsko-litewskiem zapanowała wyłączność szlachecka.

***) Znajduje się w bibliotece Muzeum w Rapperswylu.

dają...“ Z tego ustępu możnaby wywnioskować, że autor jest zwolennikiem rządów autokratycznych, czyli — jak częściej mówimy — absolutystycznych. Tak jednak nie jest: świadczy o tem cały tok opowiadania. Jest to przelotna uwaga teoretyczna. Nie odmawiam jej nawet pewnej trafności. Wypada zapytać wszakże, co jest przyczyną trwałości autokracji? Ciemnota i bierność masy rządzonych. Możeż być taka trwałość pożądaną?! Domy, dawniej budowane, są trwalsze od dzisiejszych, atoli w tych ostatnich wolimy mieszkać, bo znajdujemy w nich większą wygodę i przyjemność. Długotrwałość nawet życia nie jest wcale dobrodziejstwem dla człowieka, jeżeli cierpienia i rozpacz towarzyszą mu nieustannie. Ci co walczą z alkoholizmem, powinni to mieć na względzie.

Dzieło p. Niewengłowskiego oddaje ważną przysługę naszemu narodowi, i powinniśmy mu być za to wdzięczni. Życzyć by należało, ażeby znalazło ono jak największe upowszechnienie wśród publiczności czytającej po francusku.

Bolesław Limanowski.

O KRZYŻAKACH.

Przez

14) **Marję Konopnicką.**

A teraz, powróćmy na chwilę myślą do tego obrazu, kiedy Lichtensztejn podnosi się u stołu królewskiego i mówi:

— „Królestwo powiada się krześcijańskie, ale obyczaje w niem pogańskie“.

Runęły na głos ten tamy. Zrywają się rycerze groźni, potężni, a twarze to bledną, to ogniem pałają, a ręce uderzyły w miecze, a usta krzyknęły — „Gorze!“

A jestto wybuch srogiej żałości, śmiertelnej obrazy i gwałtownego protestu przeciw zuchwałej zniewadze, którą każdy z tych wielmożów i sam za siebie i za to „Królestwo“ czuje. Roznieśli by krzyżaka na mieczach, by nie to, że poseł, i że do Majestatu przemawia.

Ale ci, co się tak umieją porwać w ogniach duszy na zarzut rozdwojenia pomiędzy wiarą a obyczajem, ci nie rozłączają dogmatu od etyki życia! Mają słabości ludzkie; to prawda, ale gdy który rękę na krzyżu położy, to nie będzie krzywoprzysięzcą ni Bogu, ni sobie. I nie będzie krzywdzicielem i gwałtownikiem i katem — w imię Chrystusowe.

— „Tak i owak bywa w Polsce, jako wiecie — powiada Maćko z Bogdańca — ale na sieroty nikt ręki nie podniesie, gdyż za to miecz katowski i gorsza od miecza hańba“.

Więc nieprawda! Więc nie były tam w tem królestwie, swoją drogą „krześcijaństwo“, a swoją — „obyczaj pogański“, kiedy krzywdę sierocą nietylko miecz karał, ale kiedy hańba, z imieniem krzywdziciela związana, poczytaną być mogła za gorszą od miecza Więc nieprawda! Bo gdzie prawo karze zło, tam społeczeństwo, opowiada się przy dobrem w prawodawstwie swojem. Lecz gdzie nad karą stoi jeszcze hańba, tam społeczeństwo nietylko staje biernie po stronie dobra, ale złe czynnie na zewnątrz siebie wyklucza. Wszak był czas, kiedy majestat królewski uczuwał po złym czynie, że w „tem królestwie“ nic po nim, i szedł z niego, banitą, precz. Takie to było to królestwo i takie „krześcjaństwo“ jego.

Przepyszną antytezę tworzy Sienkiewicz, stawiając przeciw zbrodniczym mnichom i strasznym chrzcicielom Zakonu, trzy typy księży, w których z głęboką znajomością duszy ludzkiej, charakteru narodowego i dziejów, zogniskował naczelne cechy duchowieństwa polskiego, na całej przestrzeni wieków. A takie w typy owe życie, taką prawdę tchnął, że stają one — w dziele mimo ogólności, mimo syntetyczności swojej, jako skończenie i doskonale żywe indywidua. Taki jest Opat z Tulczy, taki jest ksiądz Wyszoniek, i taki jest ksiądz Kaleb.

Aby postawić każdego na właściwem miejscu, przedewszystkiem uczynił Sienkiewicz trzy silne zaciosy — pierwszy wprost w ziemię, drugi wyżej nieco, a trzeci aż w błękit niebieski.

Na pierwszym oczywiście stanął Opat z Tulczy.

Opat jest właściwie przebujnym szlachcicem, zawadjaką i fantastą, który choć w księżych sukniach chodzi, po rycersku, a nawet po warcholsku poczyna sobie i radziej pozywa przeciwnika na udeptaną ziemię, niźli na sąd boży. Nie stanie mu kto, jako osobie duchownej, wnet pięścią w stół trzasnąwszy krzyczy:

„Gdym we zbroi, tom ja nie ksiądz, jeno szlachcic!“

Jakoż opasuje się „potężnym kordem“, a w zapasie ma niemniejszy od onego korda brzeszczot. Dziwuje się kto obyczajom takim, tedy opat wnet się zaperzy i weźmie po łacinie gadać, tocząc gniewnemi oczyma po słuchaczach, którzy, iż nic nie rozumieją, z szacunkiem schylają głowy. Aż udobruchawszy się i wygadawszy — rzecze już uspokojony:

— Kiedy ojciec święty mieczów księżom zabraniał, to pewnikiem myślał o ludziach niskiego stanu; szlachcica bowiem Bóg stworzył do broni, a ktoby mu ją chciał odjąć, tenby się odwiecznym Jego wyrokom przeciwiał!“

I jeździ tak zbrojno i rojno otoczony klerykami, rybałtami, wagantami, „szpylmanami“, i różnemi piwożłopami, a im weselej mu w duszy, aboli smutniej, tem głośniej szpylmanom grać, ba klerykom hukać każe, że aż bór się trzęsie, aż chłopi wylatują patrzeć: gdzie się pali. Ma on jak gdyby „melankolijęׅ“ jakowąś ukrytą, którą owym nieustannym brzękiem, śpiewem, krzykiem, hukaniem, tętentem zagłuszyć chce. Najpewniej jest mu w księżych szatach — ciasno. Wszelki też obyczaj jego jest obyczajem możnego szlachcica. Rad poluje, rad w kubki i kości brzęka, rad tłusto a korzenno jada, rad — byle co godnego — pija.

Nie nowina „mu też hełmem głowę nakryć“, a jest tak silny, że „o dziesięć kroków świece tchem w ołtarzu gasi“, a „jak huknie przy mszy, to aż jaskółki pod pułapem z gniazd wylatują“. Mądrości też z ksiąg posiadał niemało. Gdy wypali Zbyszkowi orację o zacności małżeńskiego stanu, tedy namiesza w nią i ojców kościoła i filozofów pogańskich, i proverbiów“ i mądrości świeckiej, aż skończy na żałośnym przykładzie owej to przygody Sokrata z naczyniem Xantypy, na co „Clerici“ jego – mniemając, iż rzecz jest duchowna – wrzasną chórem — Amen. „Rycerski człek“, jak o nim mówi Maćko, ale choleryk, impetyk niepohamowany, o lada przyczynę, o lada słowo, jak siarka zapala się, i wybucha, i „w mig pełniuśką izbę naklnie“. Zaczem wywala nogą drzwi, okłada lagą swoich wagantów, lżąc, krzycząc: „Na koń, skomorochy! Na koń, psiawiary!“ i skoczywszy bez strzemienia w siodło, klnie dom, ludzi, pola, i zapowiada, że noga tu jego więcej nie postanie. Lecz i to jest także ów siarczany płomień, który prędko gaśnie. Zobaczy łzy sieroty — wnet ją i tuli i cieszy, a dobro, o które na zdeptaną ziemię pozywa sąsiada, oddaje — też sierocie. Ciekawy jest stosunek Opata do nieba: Pana Boga czci, bo czci, najmocniej wszakże wierzy, iż przywileje szlacheckie sam Chrystus potwierdza.

Pilnuje się też hierarchji na ziemi i w niebie.

— „Bacz, — mówi do Maćka — by ci się nie przygodziło — jak Beyhardowi, co go spalili na stosie.

— Za co? ów pyta. A Opat:

— „Bo gadał, że świecki człek potrafi tak samo tajemnice boskie wyrozumieć, jako i osoba duchowna“.

A o klerykach swoich mówi:

— „Powsinogi, nicponie, ale trochę służby bożej liznęli“.

I to ich w oczach jego ubezpiecza nieco od onej srogiej „lagi“, bez której się nie rusza.

Radzi go się Maćko, czy dobrze uczynił, iż się nie do inszych świętych jakowych, ale do królowej Jadwigi w chorobie swej udał:

— „Dobrzeście uczynili!“ — woła Opat zapalczywie. „Lepsza ona od innych i pewniejsza, bo swoja!“ A niechby się który święty śmiał skrzywić! Dałbym ja mu! Ale jeżeli tak sobie poczyna z niebem, to i na ziemi nie więcej ceregielów czyni. Śluby Zbyszkowe? — Co śluby! — woła ten przedziwny Opat. — „Ja go tu na poczekaniu z nich rozwiążę! Śluby plewa, a ja wiatr!“ Tu dmuchnie tak potężnie po otwartej dłoni, aże się wszystko w okół zakołysało w izbie..

(C. d. n.)

„W pocie czoła“.

Wiosna! wiosna!.. Deszcz majowy przelał —
Jakby kto urok rzucił:
Cały świat w szerz naraz poweselał,
Rozśpiewał się, roznucił.

Trawy zmyły proch z zielonych szatek
(Kąpiel, to ich uciecha),
Kwiaty późno wstały — każdy kwiatek
Inaczej się uśmiecha.

A wszystko jakieś zpojone majem,
Rozgląda się nieśmiało —
A ptaki to aż kołyszą gajem,
Tyle się ich zleciało...

To grzywacze, to drozdy, to kosy
I jako się tam mienią —
Chórem dzwonią naprzemian w niebiosy,
Aż im się dzióbki pienią.

Odzywają się i głuszce niemi
Ziemia drga od uniesień
Ino jeden człowiek po tej ziemi
Włóczy ze sobą jesień...

Władysław Orkan.

5)

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

Pewnego dnia...

Wracał wolno, zmęczony bardzo, wlókł się koło fabryki i drgnął jakby z przestrachu, księżyc tak świecił z boku okna, tak je prześwietlał na wskróś, że pan Pliszka najwyraźniej ujrzał czarne, błyszczące kontury maszyn, zdawało mu się, że stalowe kadłuby przysunęły się bliżej, że się pochylają do okien i potworne, olbrzymie łby maszyn patrzą w świat... patrzą na niego, a tak groźnie, tak strasznie i złowrogo, że się aż przeżegnał i spiesznie powrócił na kamień, pod ścianę.

Józiek wciąż grał na harmonijce, a grał coraz zapamiętalej — to walce huczące jak burza, to mazury, które były huraganami, to oberki takie, że aż harmonijka jęczała ze zmęczenia, to znowu dziwne piosenki, piosenki proste, łzawe, smutne – takie, jakie płyną po polach naszych w jesienne noce, pełne pomiotów wichury, płaczów drzew marznących, jęków ziemi zmęczonej i szelestów suchych badylów, a z bramy głównej odpowiadał mu głos rzewnej ligawki pastuszej, dzisiaj pewnie wykręconej z tych wierzbin, co rosły nad fabrycznemi sadzawkami, na której grywał stróż fabryczny.

Ligawka miała dziwny głos płaczu i skargi, jakby jęk duszy tych wierzbin, tych drzew tęskniących za słońcem, za wichrem, co buja po polach, jakby jęk tych drzew zatruwanych przez dymy, duszonych przez mury, przez brak powietrza, przez te straszne odpływy fabryczne konających.

— Józef a dałbyś spokój! Skrzypisz a skrzypisz, aż uszy bolą! – zawołał pan Pliszka rozdrażniony i powrócił do izby.

Pani Radzikowa jeszcze nie spała, wiązała z pośpiechem frendzle u chustek wełnianych, których stosy leżały na podłodze, a Antoś, przy drugim końcu stołu, zatkał uszy rękami i uczył się, wykuwał lekcje

— Przestałaby pani, a to oczów szkoda!

— Muszę skończyć dzisiaj Jutro przecież jedziemy na wieś, do mojego brata księdza. Antoś butów nie ma, a i wpis trzeba płacić.

Pan Pliszka usiadł pod niskim kominem i raz po raz dziobał pogrzebaczem w dogasujące węgle. Kruczek wyciągnął się przy nim na ziem i spał.

Cicho było, Józkowa muzyka przez mury dopływała, jak niewyraźne majaczenie, a zegar cykał monotonnie, powolnie, ciągle

— Na długo pani pojedzie? – zapytał cicho.

– Na dwa, albo i trzy dni! Chcę też skończyć chustki, to może pan Pliszka w poniedziałek odeśle je do fabryki.

— W poniedziałek święto! — rzekł krótko.

Ale to przecież fabryka żydowska i kantor będzie otwarty.

— Aha! dobrze.

— A pan Pliszka nigdzie na święta nie pojedzie?

– Także! Nie jestem bogacz, żebym mógł jeździć na spacery! — powiedział z naciskiem, rzucił pogrzebacz i poszedł spać.

Ale nie spał, nie mógł zasnąć, w jakąś godzinę zajrzała do niego pani Radzikowa.

— Że do dnia jedziemy, to chciałam prosić, żeby tu pan Pliszka miał oko na pomieszkanie.

Nie odpowiedział, zaklął tylko po cichu i leżał, jak martwy, w tej dziwnej, niezrozumiałej męce, która go przenikała coraz boleśniej: była to męka tęsknoty bezcelowej, jeszcze głuchej, a tak bolesnej, tak bolesnej.

— Wszyscy jadą... wielkie państwo... balowania im potrzeba... ale.. roztarł kułakiem ten mglisty cień, co mu znowu przydusił oczy. Bieda aż piszczy, a na spacery to pieniądze mają... Przecież gdybym chciał... gdybym chciał.. Dotknął się woreczka, który nosił na piersiach, tam miał wszystkie swoje oszczędności, składane przez lat dwadzieścia. Zechcę, to przepiję wszystko, albo dam komu.. albo też pojadę... aha!.. tak... i gdzie? — przesunął ręką po oczach wilgotnych.

— Sam jeden człowiek, jak ten... ten Kruczek... Chamy psiakrew! Letnich mieszkań im potrzeba.

Miał już w sobie cały pożar tęsknoty i całe morze goryczy...

Nazajutrz wstał późno, tak późno, że już nie było pani Radzikowej, a jasne, wesołe słońce zalewało jego izbę.

Oprzytomniał rychło i gdy sobie przypomniał dzień wczorajszy, to mu przedewszystkiem przyszła na myśl kara, jaką kazał mu zapłacić pan Demehl.

— Kruczek! – zawołał ostro na psa.

Kruczek przeciągał się leniwie, ale patrzył na pana.

Pan Pliszka powiesił na drzwiach stary, poszarpany kożuch.

— Kruczek, twój pan zapłacił karę, słyszysz? Kruczek, pan Demehl! Kruczek weź pana Demehla! Weź, huzia go! gryź go... weź! nie daj swojego pana, nie daj! Krzyczał i aż zachrypł z gniewu i zawziętości, złapał kij, bił w kożuch, a Kruczek szczekał zajadle, przyskakiwał i rwał zębami, gryzł, skowyczał, rzucał się na kożuch, jakby na rzeczywistego nieprzyjaciela i mścił się za krzywdę swojego pana.

— Dosyć piesku, dosyć, jeszcze go później pogryziemy. Dosyć... pójdziemy teraz się zameldować p. kapitanowi.

(C. d. n.)

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

XXIV.

Chodowie wspominali później niejednokrotnie tę wiosnę niezwykłą. Pracowali w on czas na własnych jeno polach, dla siebie, bez przymusu, nie znając pańszczyzny, ani samowoli pańskiej. A w sercach kwitła im nadzieja, że na żniwa zawita ku nim radość, zawita szczęście prawdziwe. Do żniw sądy muszą się przecie skończyć, będą więc wtedy wolni, będą używali całą piersią swobody upragnionej! Tymczasem przed żniwami jeszcze zerwała się burza i zniszczyła nadzieję, — ba, wiarę niezłomną w szczęśliwą przyszłość.

Burza ucichła, ale jej skutki trwają!

Tam, w Poczynowicach, dość krwi popłynęło . . . Nadaremnie! Do szczęśliwych jeszcze należą ci, co padli w boju, podobnie jak Maciej Przybek, lub zmarli z ran otrzymanych. Nie jeden wszakże z walecznego hufcu Macieja przebił się i zdołał ujść wrogom. Ale czemże było dla nich życie w lasach lub na obcej ziemi bawarskiej? Któż z nich potrafi tam długo wytrzymać? Nędza i tęsknota za krajem nie zniewolą-ż ich wcześniej lub później do powrotu i upokorzenia się rzed panami, jak to uczynili tamci, z Hamr?

O, tym ostatnim Maciej dobrze wyprorokował!

Przebaczono im, ale za jakąż cenę!

Siedmdziesięciu z górą pognano, skutych w kajdany, do więzień przeróżnych, gdzie straże więzienne biły ich i obchodziły się z nimi, jak ze zbrodniarzami...

Tymczasem nadeszły żniwa. Inne, zgoła inne od tych, które śniły się Chodom. No, ale mieli przynajmniej o czem wspominać, a dzieciom i wnukom, w niewoli zrodzonym, będę mogli opowiadać o złotej wolności, która im błysnęła na chwilę znikomą . . .

Przed samemi żniwami wzywano ich po kolei, wieś za wsią, do Terhanowa, do kancelarji. A tam musieli wszyscy bez wyjątku, zagrodnicy, jak chałupnicy, zaprzysiądz na ewangielję, że są i pozostaną, oni i ich potomkowie, poddanymi swego dziedzica, szlachetnie urodzonego Maksymiljana Lammingera z Albenreuthu, — i że najmiłościwszej onej zwierzchności swojej ślubują wierność, posłuszeństwo i przywiązanie.

A po wykonaniu onej przysięgi, odczytywano im dokument, który głosił, że wszyscy Chodowie uznają dawne prawa swoje i przywileje jako wygasłe i nigdy już głosu w ich obronie podnosić nie będą, zachowując nakazane „perpetuum silentium“ posłusznie i wiernie.

W przygnębieniu milczącem oczekiwali Chodowie wezwania do kancelarji, a potem szli tam posłusznie, bez wrzawy. Nie było już między nimi buntowniczych Brychtów, ani takich ludzi, jak Szerłowski lub Maciej Przybek . . .

Ten i ów czuł się złamany, skruszony na duchu, a nawet i ci, którym wrzało w piersi, wiedzieli, że nic nie poradzą.

Powtarzali słowa przysięgi głosem głuchym który rwał się nie jednemu na ustach, podobnie jak niejedna spracowana, ciężka prawica drżała, kładąc podpis na wyrocznym papierze, którym sami sobie kneblowali usta i wiązali ręce, — sami wydawali na siebie wyrok śmierci!

I nie jedno głębokie, jękliwe westchnienie wyrwało się z męzkiej piersi Chodów, gdy opuszczali kancelarję. Teraz byli już naprawdę poddańczuchami, — teraz należeli ciałem i duszą do nienawistnego pana . . .

Myśl ta działała przygnębiająco, cały jednak jej ciężar uczuli dopiero wówczas, gdy trzeba było w czyn wprowadzić to, do czego się zobowiązali w kancelarji! Skoro tylko rozpoczęły się żniwa, dwór skorzystał ze swego prawa i pognał Chodów na robotę. Wprawdzie i ojcowie ich i oni sami odrabiali i dawniej pańszczyznę, lecz jak wielka zachodziła różnica i w liczbie dni roboczych i w całem zachowaniu się panów względem nich!

Najświatlejsi, najbardziej szanowani gazdowie, którzy podczas buntu byli w Hamrach, musieli zaprzęgać się teraz do najcięższych robót. Przyprowadzano ich z wiosek i z więzienia, w którem dotąd siedzieli, i pędzono w kajdanach na robotę.

Oburzające, bezprzykładne znęcanie się! Syka „prokurator,“ stary Psutka z Postrzekowa, Pajdar z Poczynowic i wielu innych szanownych gazdów, którym wiek siwizną osrebrzył skroń, pracowało teraz na pańskiem w łańcuchach na nogach, niby złodzieje i zbrodniarze! Każdy, kto brał udział choćby najmniejszy w onej rebelji, był surowo karany. Nawet i Justa z Domażlic zamknięto w więzieniu za to, że zachęcał Chodów do procesu. Ten sam los spotkał adwokata, Błażeja Tunkla z Berniczka, pomimo że był szlachcicem i miał wysoko urodzonych krewnych, którzy się za nim wstawiali.

O posłach natomiast, Krzysztofie Hrubym, Kozinie, Eclu, Niemcu z Miodakowa, Peczu z Chodowa i dwóch ich towarzyszach nic nie było słychać. Wiedziano tyle jeno, że dotąd są w więzieniu.

Jakże więc nie miał wlec się smutek po całym kraju Chodzkim, kiedy najlepsi, najdzielniejsi śród nich albo pracowali na pańskiem w kajdanach, albo czas trawili w więzieniu, zdala od swoich?

Żniwa minęły cicho, bez śpiewu; zwykłe wesele uleciało kędyś daleko, pozostał jeno trud.

Potem przyszła jesień, a z nią nowe roboty i nowe wymagania ze strony dworu. Chodowie spełniali je z biernem posłuszeństwem, znosząc w milczeniu brutalne obchodzenie się czeladzi dworskiej. Ten i ów ukradkiem chyba zaklął, lub zgrzytnął zębami. A słabsi na duchu poczynali szemrać na tych, których niegdyś wielbili, którym przyklaskiwali z zapałem. Mieli im za złe mianowicie rozpoczęcie walki nadaremnej, która się skończyła ze szkodą dla ogółu Chodów.

Jeden tylko Przybek, ojciec nieboszczyka Macieja milczał. Nieszczęsny, białowłosy starzec!

Klęski, które spadły w ostatnich czasach na ziemię chodzką i na jego własny ród, zmieniły do gruntu jego usposobienie. Nic go teraz nie obchodziło, nic rozweselić nie mogło. Przesiadywał całemi dniami w chałupie u lipowego pnia, lub w sadzie za domem, pod drzewami, gdy słonko pięknie przygrzewało, zawsze sam, zamyślony, z głową na piersi opadłą i wzrokiem utkwionym w ziemię.

Marynka słyszała wyraźnie parę razy, jak mówił sam do siebie cichym szeptem:

— Chometa . . . Przepowiadałech . . . A sprawiedliwość?! Kany je sprawiedliwość? . . .

Wnuczka rozumiała, co chciał powiedzieć. Jedna jedyna myśl opanowała mózg starca. O nic innego nie dbał. Gdy zapytywała o radę, o wskazówki co do gospodarstwa, prawie jej nie odpowiadał, jakby nie rozumiał, lub nie słyszał. On, taki gazda niegdyś! To też cały ciężar gospodarstwa, wszystkie troski domowe przygniatały teraz jej młode barki.

Była jednak nieodrodną Macieja Przybka córką, więc dawała sobie radę ze wszystkiem. Pomna ostatniego nakazu ojca nieboszczyka, otaczała dziada najtkliwszą opieką, a ponieważ czeladź robiła najczęściej na pańskiem, więc pracowała sama od świtu do nocy.

Ale gdybyż to jeno o pracę chodziło! Gdyby duszy jej nie rozdzierał żal za ojcem i tęsknota, — straszna tęsknota!

Stary Szerłowski, który się był przebił wraz z synem przez wojsko, wrócił ku jesieni do Ujazdu i teraz chodził w łańcuchach na pańszczyznę. Syn pozostał w Bawarji, bo Lamminger groził mu zbyt surową karą. Jak się to wszystko skończy? Co dalej będzie? Kiedy wróci i czy wogóle będzie mógł wrócić?

Pytania te wywierały wpływ najbardziej przygnębiający na dzielną dziewczynę.

Kobza Iskry Rzehużka i skrzypce ślepego ojca wisiały na kołku nietknięte. Ktoby tam o muzyce teraz myślał! Iskra pracował w wolnych od pańszczyzny chwilach przy gospodarstwie uwięzionego przyjaciela, gdzie krzepkie jego ręce i zdrowa rada były bardzo potrzebne.

Ilekroć zjawiał się w żałobnym domu Jana, młodej gospodyni lżej się robiło na sercu. Lubiła go bardzo, jako najlepszego przyjaciela męża i jako szczerego człowieka, przed którym mogła się poskarżyć, nawet zapłakać. Z matką Jana rozmawiała nie często. Stara kobieta unikała jej towarzystwa, czując w sercu, że synowa musi ją obwiniać o to, co się stało. Wszak gdyby nie jej wpływ na syna, gdyby nie owe nieszczęsne dokumenty, które uratowała podczas rewizji, Jan nie byłby się uwikłał w proces z panami.

Iskrze natomiast udawało się niekiedy pocieszyć Hankę, rozjaśnić chmurne jej lica. Trwało to jednak przelotną zaledwie chwilę. Młoda gosposia pracowała, krzątała się, przodowała wszystkim w domu, ale nieraz porzucała robotę najpilniejszą i znikała z przed oczu ludzkich na długą chwilę. Nikt jej wtedy nie szukał, bo wszyscy wiedzieli, że, zamknięta w komorze, lub na strychu, tonie we łzach gorących . . .

* * *

C. d. n.

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy)

Hładysz z Litwy. *Hofmejster* z żoną. Światły i wykształcony człowiek, znany powszechnie w Warszawie i Krakowie. *Hryniewiecki* technik. *Jankowscy. Jarocki* z żoną. *Jarocki* lekarz, zmarł na tyfus w Irkucku. *Jacewicz* ksiądz. *Jeleński* Antoni z żoną Sabiną. Marszałek powiatu mozyrskiego. Był to zacny i światły, pełen poświęcenia człowiek, żył w Wilnie w przyjaźni ze wszystkiemi wybitniejszemi osobistościami na Litwie. Gdym bawił u niego w Ussolu, opowiadał mi wiele szczegółów ciekawych, datujących z czasu rządów „Wieszatiela“ w Wilnie; parę tych szczegółów przytoczę tutaj, dadzą one niejakie pojęcie o gospodarce potwora-człowieka, któremu wdzięczni i zacni jego rodacy wznieśli monument spiżowy w stolicy Litwy, ku chwale imienia potężnego państwa i dla wzbudzenia emulacji w łonie wiernych sług jego.

Gdy Murawjew wieszatiel przybył do Wilna, z rozkazem od najwyższej władzy zniszczenia prowincji, jego rządom powierzonej, postanowił godnie odpowiedzieć zaufaniu weń położonemu i w pełni dać poznać światu, co umie i co może knut w sprawnem ręku kata. Nasamprzód

umyślił zgładzić wszystkich obywateli kraju, mających jakiekolwiek znaczenie w mieście, lub na prowincji. Do rzędu ofiar, z góry upatrzonych należał Romer, właściciel ziemski powiatu Wileńskiego, który wówczas z powodu słabości zdrowia mieszkał w mieście. Uplanowawszy zagładę Romera rozkazał oberpolicmejstrowi zakomunikować mu „srażajsze predpisanie“ natychmiastowego opuszczenia miasta i zamieszkania na wsi w swoich posiadłościach. Nie sądząc następnie satrapa, ażeby ktokolwiek śmiał się oprzeć jego rozkazom, lub zdołał w jakikolwiek bądź sposób ominąć rozporządzenie wszechwładnego mocarza, jakim się czuł wtedy, był pewny, że ukartowana talja wyświeci konieczną kartę, rozkazał więc w kilka dni potem ogłosić biuletyn treści następującej: „Dnia takiego w majętności obywatela Romera „szajka buntowszczyków“ była podejmowana gościnnie przez pana domu. Gdy się o tym fakcie dowiedział naczelnik siły zbrojnej generał X., rozkazał on pułkownikowi Z. udać się na miejsce wskazane z bataljonem piechoty i sotniami kozaków. Otoczono dom mieszkalny Romera i po walce zaciętej wojsko nasze zwycięzkie zdobyło pozycję dobrze bronioną. Żołnierze, roznamiętnieni walką, spalili gniazdo rozbójnicze, wycięli w pień buntowników i powiesili właściciela majętności, tego niegodnego i wiarołomnego obywatela, który w tak przestępny sposób śmiał urągać rozkazom władzy, zabraniającym dawać jeść i pić miatieżnikom. Niepomny na wysokie łaski najjaśniejszego naszego pana wpuścił on do domu swego wrogów ojczyzny naszej, tych wyrzutków społeczeństwa. Wojsko nasze, pomimo morderczego ognia ze strony dobrze uzbrojonych miatieżników, straciło tylko jednego kozaka, z rannych jest jeden oficer i jeden szeregowiec!!“ podpisany: naczelny dowódca siły zbrojnej, generał X. Biuletyn tej treści dostał się do rąk Romera, który z miasta wcale nie wyjeżdżał, gdyż był obłożnie chory. Można sobie wyobrazić przerażenie skazanego na śmierć przez Wieszatiela, dostał on maligny, omal nie obłędu, lecz ocalał na przekor tyranowi. Oberpolicmajster jednak pułkownik żandarmów i lekarz miejski zostali usunięci ze swych posad, za to, że śmieli swemi czynnościami przyczynić się do ocalenia Romera. Z całego zmyślonego biuletynu, jakimi były wszystkie ówczesne biuletyny moskiewskie, to tylko jest prawdą, że pjani żołnierze z pjanymi oficerami na czele napadli na dwór, powiesili rządzcę, pozabijali służbę, zrabowali wszystko, spalili doszczętnie zabudowania dworskie, słowem „wodworyli parjadok“.

Drugi wypadek, opowiadany przez Antoniego Jeleńskiego, miał miejsce w posiadłościach hr. Edwarda Czapskiego. Ten ostatni pełnił wtedy urząd „pośrednika“ i był czynny w sprawie uwłaszczenia włościan. Pewnego dnia przyjechał do niego wójt z poblizkiej wsi z zawiadomieniem, że oddział powstańczy znajduje się w okolicznych lasach. Na ten komunikat odrzekł mu Czapski. Pilnuj czynności, przywiązanych do urzędu, a nie zajmuj się rzeczami postronnemi, należącymi do władz wojskowych“. Za tę obojętność i niedoniesienie naczelnikowi siły zbrojnej wiadomości, udzielonej mu przez wójta, Czapski został sądzony do robót ciężkich, majątki jego pięknie zagospodarowane skonfiskowano i darowano gen. Todtlebenowi. Opowiadanie o historji zesłania Walickiego do robót ciężkich pomieszczę, gdy mowa będzie o nim z kolei, internowany był on bowiem w Ussolu. Żałuję mocno, że dzisiaj nie pamiętam już nazw zaścianków i wsi, których mieszkańców całą gromadą zesłano na Syberję, domostwa zaś ich spalono. To, co się teraz dzieje w Transvaalu i w Chinach, działo się w owych latach u nas na Litwie. Ciężki i smutny los wypadł na jej dolę. Kraj cały zdeptany i sponiewierany został bydlęcemi racicami wszystkojadnych potworów rodu człowieczego.

(C. d. n.)

Z pism i książek.

Marya Konopnicka. Z Roku Mickiewiczowskiego. Warszawa. Bronisław Natanson. 1900.

Książka p. Konopnickiej składa się z dwóch części. W pierwszej polemizuje autorka z dotychczasowem zapatrywaniem krytyki, w szczególności z prof. Kallenbachem i usiłuje wykazać, że t. zw. Część I Dziadów, składająca się z czterech fragmentów, powstała już po napisaniu sceny obrzędowej z części II-ej, po katastrofie Tuhanowieckiej, więc prawie bezpośrednio przed częścią IV — i że fragmenta te wbrew przyjętym twierdzeniom nie są ani szczątkami jakiejś odrębnej części „Dziadów“, ani rzuconym szkicem z planem później wykonać się mającego dzieła, lecz tworzą jakby potężny gruz z zaczętych i poniechanych pomysłów, są wynikiem, a zarazem wymownem świadectwem rozterki, panującej w duszy poety.

Dowodzenia swoje opiera p. Konopnicka na psychologicznych podstawach twórczości, co nadaje im życie, pozbawia suchości. Inna rzecz ze ścisłą pewnością, chociaż twierdzenie autorki żyje wielkiem prawdopodobieństwem. W drugiej części, zatytułowanej „Portrety piórem,“ przebiega autorka wszystkie wrażenia, skreślone przez tych, którzy się z poetą zetknęli, a malujące tak jego zewnętrzną jak psychiczną stronę, począwszy od czasów Kowieńskich aż do katastrofy nad Bosforem, wybiera z tych portretów kreślonych słowami, najcharakterystyczniejsze, wiążąc je w pewną syntetyczną całość, ukazującą, jak dusza poety z biegiem lat i wypadków rozrastała się, olbrzymiejąc swym bolem i tragizmem. Sposób pisania, jakim się p. K. w obu częściach posługuje, jest pełen uroczystej powagi.

t. s.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul. Kopernika 5.